

Wrota Europy

(końcowy fragment scenariusza)

JERZY WÓJCIK, ANDRZEJ MULARCZYK

Zosia i Anczew mijają ogrody dworskie. Drepcząc niespokojnie w śniegu po szerokich, ogromnych śladach Anczewa, Zosia patrzy na jego mausera. Jakby to wyczuł, bo odwrócił się i spytał:

– Tam sztab generała Ostapowicza... Chcesz do swoich?

Kiwnęła głową, że bardzo chce. Chyba nie odczytał z jej myśli, czego chce najbardziej?

Zaczął iść teraz szybko, jakby nie było czasu do stracenia.

W polu za ogrodem śnieg nie był taki kopny. Zrównnali się. Nie zwalnając kroku ani chwili, Anczew opowiedział jej, że jak oni opuszczają dwór – przyjdzie chłopstwo i wyrznie wszystkich.

– Za godzinę chłopci przyjdą – im likwidował wsiech.

Wiatr lekki podnosi puszkę pyłu śniegowego i po polu niesie. Zosia ogląda się: szpital daleko – jedno tam tylko mdłe okienko naszej izolatki migocze. Na bolszewickiej stronie ciemno.

Przed nimi nagle z wnętrza gruntu wynurzone światło jakiejś wsi. Za nią ciemny kontur lasu. A za lasem...

– Ot, tam już twój – Anczew unosi do oczu lornetkę. Widzi jego uniesione w górę ramiona, które odsłaniają dostęp do mausera... Pusto w głowie. Ani jednej myśli. Tylko świadomość, że trzeba decydować prędko, prędko.

Gwałtowny ruch ręki Zosi w stronę broni. Wyszarpuje z kabury długolufy mauser. Gest Anczewa spóźniony. Zosia odskakuje na kilka kroków. Lufa mausera kieruje się na Anczewa, który zastygł w pół gestu. Patrzy na lufę, patrzy na Zosię. Nagle widzi, że dziewczyna kieruje broń prosto w swoje piersi. Ten gest ma w sobie coś z teatralnej przesady. Pada strzał, ciało osuwa się...

– Ty co?! – krzyczy Anczew, odrzucając rękę Zosi, która daremnie chciała odbezpieczyć wyrwaną Anczewowi broń i wykonać to, co sobie wyobraziła. To, co widzimy, jest tylko jej oczekiwaniem faktu, a nie rzeczywistym wydarzeniem.

Zosia stała jak kukła.

– No, idi! – popycha ją lekko – Idi! Znaj, szto ja czeławiek!

Wzięta za rękę, potyka się o skibę. Traci równowagę. Idzie mechanicznie za Anczewem, wiedząc, że nie pójdzie tam, gdzie może być Paweł, bo co mu powie? Jak mu spojrzy w oczy? Wie, że nie pójdzie, zostawiając swoich rannych, bo zbyt wielką zapłaciła cenę, by ich ocalić! Więc staje po kilku krokach. Zatrzymuje Anczewa. Chce mu powiedzieć, że się rozmyśliła, że zostaje... że nie może...

Przecząco potrząsa głową. Wreszcie wybucha rozpaczliwym łkaniem.

– Czego chmyczesz, siostra?

Jest zły. W pewnej chwili, gdy jakaś miedza polna odwidła się na lewo, na gorzelnię i obejście, porzuca ją, machnąwszy ręką i nie pożegnawszy się nawet. Idzie na przelaj w kierunku drogi, którą wycofują się oddziały bolszewickie.

Słychać pojedyncze strzały.

Ołowiem o ziemię oparte niebo.

Słychać tętent głuchy – zamarznąłą grudę rozbija setka końskich kopyt.

– To nasi!

Zosia widzi, jak daleką drogę z uciekającym w nieładzie bolszewickim taborem, przesłaniają konie. Wspaniałe konie!

Z kulis oszronionego brzeźniaka wystrzelił tabun. Szerokim wachlarzem rozsypał się na białej przestrzeni. Konie szły w szaleńczym zmęczonym biegu.

Dudniła zamarznąła ziemia. Anczew i Zosia zatrzymali się – widoczni na tle bieli śniegu. Skradzione stado pędzili jeźdźcy z nahajkami w rękach. Na głowach przekrzywione papachy. Prowadził ich „adiutant” Anczewa w czerwonej czapie. Stada pędzili przed sobą bolszewicy, uciekając na wschód. Anczew podbiegł kilka kroków do osiodłanego luzaka. Wybiegł mu jakby naprzeciw. Chciał skoczyć na konia w biegu... „Adiutant” w czerwonej czapie prawie zrównał się z Anczewem. Strzał był celny – Anczew zwałił się na śnieg. Zawirował wiatr. Opadły płatki śniegu. Bolszewicy pędzili na wschód. Strzał, który powalił Anczewa echem ugodził także Zosię. Unieruchomił ją w pierwszej chwili, a potem była już przy Anczewie. Blisko zobaczyła jego twarz. Płatki śniegu spadały na otwarte oczy. Anczew nie żył... Nieruchomi obydwójce w tumanie śniegu.

W mroku zabłysło światło naszego szpitalnego okna. Jeszcze raz spojrzałam w stronę dalekiej wsi ujętej w kurtynę ciemnego lasu. Te chaty wyłamujące się z mroku, to przecież dom rodzinny i Polska.

Zosia idzie teraz wolno na światelko szpitala. Śladami, skąd przyszła. Tam gdzie jej obowiązek, tam gdzie teraz majaczy czerwona luna.

W podłodze ganku były duże szpary. Żar topił śnieg na rozbitym dachu. Krople wody odbijały się od podłogi, chlapały błotem w szkła porzuconego portretu w złoczonych ramach, spływały szparami w dół. Rozbite skorupy wazonu kolebały się pod uderzeniem kropel. Czas miał swój nowy wymiar.

Kule z dalekich serii maxima wylupują tynk z frontowych ścian dworku. Tynk sypie się na włosy Zosi. Staje na stopniach ganku. Patrzy na rozłupujące się nad jej głową filary, jakby czekała spokojnie na swoją kulę, która zamknie na zawsze te jej policzone dni...

Na murze i filarach mnoży się ospa dziur po pociskach...

Poślizgnęła się i oparła dłonią o szkło portretu. Szkło pękło. Dłoń zostawiła na portrecie krwawy ślad. Z największym trudem Zosia podniosła się z podłogi. Chciała wstać, ale znowu osłabła. Dłonie nie próbowały ogarnąć rozdartej sukni. Z głębi dworku dobiegł ją jakiś dziwny głos – ni to okrzyk, ni błaganie. Wbiegła do środka...

W sali chorych natrafiła na ciała rannych i zawiniętych w bandażę żołnierzy. Leżeli, jakby padli w jakimś dziwnym tańcu...

Zosia chwyta się za gardło. Przekracza zwłoki, odchyła koc: nie ma Ireny. Zosia wypada z sali. Otwiera drzwi do saloniku-rupieciami. Na fotelu tkwi skulona Marysia. Na jej piersi widnieje łańcuszek z nanizanymi dwiema obrączkami.

Tuli Marysię. Zza okna słychać dalekie strzały.

– Gdzie ciocia Hala?

– Nie wiem... – Marysia mówi przez łyż.

– A ciocia Irena?

Marysia zanosi się płaczem. Zosia okrywa ją kocem...

Przekracza w biegu leżące na podwórzu drzwi z wbity w deski siekierą. Rozgląda się. Rusza w stronę ogrodu. Za starym lamusem stało kilka zdziczałych, starych owocowych drzew. Resztki sadu.

Zosia zobaczyła, jak Irena bandażuje wystającą ze śniegu rękę żołnierza.

Irena bandażuje rękę i drzewo jednym ciągłym ruchem, jakby drzewo i człowiek stanowili jedność. Patrzy na Zosię nieobecny wzrokiem i podaje jej luźny kłęb długiego bandaża.

Zosia wyciąga ręce po bandaż, ale nagłym ruchem przytula się do koleżanki. Wybuch płaczem, skarży się spazmatycznym szlochem. Spogląda na Irę, ale ta jest „osobna” – nieobecna. Nie może już przyjąć skargi młodszej przyjaciółki. Uśmiecha się tylko gdzieś tam głęboko do siebie. I jest w tym uśmiechu daleka.

Tak – teraz to Irę należy przytulić i o ile to możliwe od wszystkiego osłonić.

Dopiero, kiedy podnosiły się z kłęczek, Zosia dostrzegła, że tam gdzie stały, pośród drzew starego sadu, wszystko było owinięte bandażem. Pnie, gałęzie, ręce zabitych i pług porzucony przez złodziei, wszystko było połączone białą wijącą się wstęgą.

Irena wyszła przed sad. Przed nią śnieżyla się przestrzeń zamknięta ścianą lasu. Patrzyła na las z ogromnym skupieniem.

– Zochna! – odwróciła się do koleżanki – Zosia!

Zosia jest już obok niej. Patrzy we wskazanym kierunku. Drzewa pełne blasku i majestatu.

– One nie wytrzymają tej zimy...

Zosia poprawiła trzymane bandaże. Rozlega się zgrzyt deptanego szkła. Zosia odwraca się. Z ciemnej ramy wyłamanych drzwi wyłania się sylwetka Hali.

Zosia przenosi spojrzenie na obłąkaną Irenę.

Milczy... Wreszcie, niespodziewanie dla siebie, wypowiada swą myśl...

– Nie martw się... Będzie im ciężko, ale przeżyją, muszą przeżyć!!

Mówi cicho, patrząc na labirynt rozwiniętych bandaży:

– Zobacz. Jak jest pięknie... Jak we śnie...

Trzy kobiety stoją w labiryncie białych bandaży.

I nagle dobiega tu tętent koni, jakby jacyś jeźdźcy byli już przy pozbawionej skrzydeł bramie. Zosia widzi hen na horyzoncie w bezkresnej dali trzy figurki na koniach. Są małe, jak trzy kropki na białej karcie papieru. Zosia patrzy w tamtą stronę, nie wiedząc, kim są ci jeźdźcy – swoi czy obcy – jak patrzyła ze środka brodu, gdy była tylko jedną z trzech siostr, dla których miały nadejść dni policzone...

Tętent narasta, choć sylwetki są dalekie jak wspomnienie z dzieciństwa...

A wokół szklą się w słońcu kryształowy lodu...

Koniec

JERZY WÓJCIK, ANDRZEJ MULARCZYK